

Danuta Gil-Łowkis

# Stefan (4)

Droga do łowiska była kręta. Idąc, by dotrzeć do kładki przerzuconej nad strumykiem, który płynął w poprzek ścieżki, musieliśmy ominąć sporą łańcuch zagradzających przejścia między sosnami. Nie było się do czego spieszyć, więc szliśmy wolno w głębokiej ciemności, ale czasami, wśród rzadziej rosnących drzew, nie istniała potrzeba korzystania z latarki, ponieważ noc była pogodna, jasna. Nad rzeką widoczność mieliśmy wystarczającą, bo światło księżyca wzmocniała tfla spokojnie płynącej wody, z tej racji nie istniał kłopot z ulokowaniem się w wybranym miejscu.

Las nocą nie lubi gości. Ma tajemnice, których strzeże i dlatego każdego przybysza próbuje wyrzucić poza swoje granice. Straszny czarna czeluścią, szmerami, pohukiwaniem sowy i w ten sposób informuje, że o tej porze przestaje być przyjazny i że wymaga honorowania jego potrzeb.

Późna pora, zmęczenie, szumiący las i nastrój wywołany srebrnym światłem nie sprzyjały prowadzeniu rozmowy. Siedząc na rybackich krzeselkach, patrzyliśmy na obraz przeciwnego brzegu – czarny i płaski, jak zredukowana do jednej barwy kurpiowska wycinanka naklejona na niebo pełne gwiazd – światełek, co bładły lub zniknęły przykrywane woalką leniwie płynących cienkich chmur. Czasami, ukryty gdzieś księżyc – może za drzewami rosnącymi na wzgórzach, które minęliśmy w drodze nad rzekę – rzucał mocne lub słabe światło, jakby świadomie je regulował dla wywołania różnych efektów.

Cisza i niezwykła sceneria przypominała mi, że już kiedyś, dawno, znalazłem się nocą w lesie. Wiedziałem, że byłem sam, że ojciec nakazał mi siedzieć bez ruchu, aż ktoś po mnie przyjdzie, i że bałem się czegoś znacznie gorszego od nocy, lasu oraz samotności, bałem się wtedy czegoś niebawale strasznego, stąd obecnie las nie mógł swoimi niewinnymi sztuczkami wywołać we mnie nie tylko lęku, ale bodaj minimalnego napięcia, które towarzyszy każdemu, kto nie może w pełni kontrolować otoczenia. Miałem pełną świadomość, że groza lasu jest udawana, że jest jak kostium, zamieniający ładną dziewczynę w czarownicę.

Czas mijał wolno, rozleniwił i namawiał do wycieczki. Deres otulony ciepłą kurtką wyglądał na śpiącego, dlatego, nie chcąc go budzić, zrezygnowałem z pierwszego posiłku, z kanapek, po które zamierzałem sięgnąć. Zerkając na nieruchome spławiki, bo ryby nie brały, sprawdziłem, czy knot świecy nie zatapia się w woskowninie, oraz pomyślałem, że przed kolejnym nocnym połowem przywiezę z Gdańska świetlówek, chociaż ta nagrobna lampka całkiem nieźle sobie radziła, i ponownie zanurzy-

łem się w swobodnie biegających myślach, wśród których zaplatało się kilka opowieści Kostka o jego sąsiadach. Otóż twierdzili oni z uporem maniaka, że na granicy lasu i cementarza w księżycową noc można spotkać widmo płaczącej kobiety oraz natknąć się na ducha żołnierza, który błądzi między grobami, bo szuka miejsca na pochówek w poświęconej ziemi. Wspomnienia historyjek znakomicie wpisujących się w atmosferę nocy i szumiącego lasu tym razem w ogóle mnie nie rozbawiły. Przez moment chciałem porozmawiać o tym, w jakim stopniu otoczenie wpływa na nasz nastrój i myśli, ale zrezygnowałem, sądząc, że Deres wciąż śpi, a tymczasem on, nie wykonując najmniejszego ruchu i nie otwierając oczu, zapytał: – Czy ojciec opowiadał wam, jak myśli łowili ryby?

W pierwszej chwili nie rozumiałem. – To znaczy, kto? Ksiądz z ojcem?

– Tak – przytaknął, a ja odpowiedziałem, akcentując zaskoczenie: – Naprawdę? Nie. Nigdy.

– Co się tak dziwisz? Twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem i jedynym człowiekiem, którego chciałem tak nazywać, tylko nie wiem, czyby mi na to pozwolił, bo na taki temat nigdy ześmy nie rozmawiali – wyjaśniał zamyślony.

Spojrzałem na Deresa, ale było zbyt ciemno, bym mógł dostrzec wyraz jego twarzy. Patrzyłem z uporem, jakbym chciał tę ciemność pokonać i dowiedzieć się, czy to żart, czy częste pobyty ojca na plebanii rzeczywiście były spotkaniami przyjaciół. – To niemożliwe, przecież ksiądz to ksiądz, a chłop to chłop. Przyjaciel ojca! Ale wymyślił! To jakaś bujda lub pułapka, a może... Nie, na pewno bujda, bo z tą pułapką to też głupota – płątałem się w domysłach, aż zmęczony nieskładnymi dociekaniami, spuściłem głowę i czekałem na kolejne dziwaczne opowieści. Po chwili Deres dorzucił:

– Swojego wujka pamiętasz? On zawsze oświetlał luczynem wodę, a Józef rozglądał się za rybami i często wyciągał sumy, z którymi żaden z nas nie dawał sobie rady, bo sum to silna i sprytna ryba, niełatwo z nią wygrać.

W czasie naszej rozmowy odrobinę pojaśniało. Chmurki gdzieś odpłynęły, a na odsłoniętym niebie pojawił się kosmyk światła. Widząc przesuwającą się cienką smużkę, wskazałem ręką rejon zjawiska i powiedziałem: – Czy ksiądz widzi? To chyba sputnik, a może tylko kosmiczny śmieć, który wpadł do atmosfery. Gdyby nie przemieszczanie się po niebie, łatwo takie światelko pomylić z odległą gwiazdą.

Deres nie odezwał się, jednak spojrzał w

niebo, a potem przeniósł wzrok na czarny rysunek lasu i długo milczał. Widocznie jego myśli pobiegły innymi torami, bo po dobrej chwili stwierdził: – Potężna, dumna gwiazda i ów śmieć kończą tak samo.

Co chciał przez to powiedzieć i o czym pomyślał, patrząc w niebo, nie zdradził. Nie wypadało pytać, skoro sam rozmowy nie ciągnął. Przez chwilę wiercił się. Zmienił pozycję, wyprostował nogi i wtulił w kurtkę, którą był okryty. Sprawiał wrażenie człowieka ponownie układającego się do snu. Zerknąłem na wędki i również pomyślałem o drzemce. Gdy zapadło milczenie, nocna cisza powoli zamieniała się w nieśmiały szelest, chrobotanie, tajemnicze trzaski suchych gałęzi, jakieś z daleka dobiegające ni to piski, ni to wrzaski, a wszystko razem wytworzyło baśniową aurę, w której zanurzyłem się z przyjemnością. Wyostrzyłem słuch, próbując domyślić się, co takiego dzieje się w nocnym życiu otaczającego lasu.

Czas mijał, ryby nie brały. Wierzchołkami drzew przeszedł lekki wiatr, przynosząc zapowiedź chłodnego świtu.

Moje zaurczenie nastrojem przerwały słowa księdza: – Stefan, czy wpadłoby ci do głowy, że ja nie nazywam się Deres? – Odpowiedziałem: – Nie. Czasami tylko pomyślałem, że to dziwne nazwisko, ale że nie jest księdza, co to, to nie. – I zapytałem: Czy to jakaś tajemnica, czy tylko wstęp do ciekawej opowieści?

Deres przeciągał milczenie, delikatnie pochrząkując, po czym solidnie zakaszał i zupełnie spokojnie wyjaśnił: – Wiesz, ono jest moje i nie moje. A czy to jakaś tajemnica? Może tak, chociaż przede wszystkim to głupia historia, a Deres to świadectwo głupoty. Bo widział – ciągnął – ja uciekłem od własnego nazwiska, które zmieniłem na Deresa.

– Po co?

– W tym cała rzecz!

I pytanie i odpowiedź były odruchem, lecz zapowiadały ciąg dalszy. Po swym wyznaniu ksiądz długo milczał, a ja pomyślałem, że to milczenie należy uszanować, dlatego spokojnie obserwowałem raz płynącą wodę, raz księżyc, a także lekko chwiejące się wierzchołki drzew z drugiego brzegu i cierpliwie czekałem, podejrzewając, że w księdzu coś pęka, coś upomina się o uwewnętrznienie. No i zaczął.

– Miałem starego i chorego ojca oraz zamodloną do granic możliwości matkę, która większość czasu spędzała w kościele. Jestem jedyńkiem, bliskiej rodziny nie mam, dalszej nie znam do dziś. W tej sytuacji wałęsałem się po wsi sam, niedoubrany, może nawet niedomyty, bo nikt się mną nie interesował. Szybko stałem się łatwym celem szyderstw miejscowych dzieciaków, które całymi grupami biegały